Nr 1. We Lwowie dnia 3. stycznia 1897. Rok 5.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



DEKADENTOM.

Nie nam, pieśniarze, stać w tęczy kolorach,
Barwić się w róże i w pióreczka pawie, —
Bo my te sosny czerniące się w borach,
Bo my te krzyże w przydrożnej kurzawie,
Bo my są wierzby, o płaczących korach,
Bo my te z jękiem lecące żórawie,
Co hejnał krzyczą wskróś zmierzchów tej ziemi,
Na puste pola, gdzie ludzie śpią — niemi.

Nie nam, pieśniarze, brać pieszczone tony,
I dźwięków szukać, co słodszych, dla ucha,
Nam w spiż serc ludzkich bić, jak biją dzwony,
Tak huczyć, jako w stepie zawierucha;
Nam szumieć, jako padające plony,
Kiedy je depce moc ślepa i głucha,
Nam śpiewać zgrzytem strun rwanych, i krzykiem,
I nie słowiczym, lecz orlim językiem!

Nie nam, pieśniarze, stroić lirę wstęgą,
I sławić rozkosz, niby trubadury...
Bo my, zakonu związani przysięgą,
Izajaszowe nosim w biodrach sznury.
Pieśń nasza -- kmiecą odziana siermięgą —
Z ducha królewskość bierze, nie z purpury,
A kiedy wzejdzie nad ugor z łez rosy,
Nie kwieciem kwitnąć jej, ale iść — w kłosy!

Nie nam, pieśniarze, biedz pustą gonitwą
Za blaskiem lir tych, co serc próchnem świecą:
Bo jest pieśń nasza o świty modlitwą
I skowronkowe legje za nią lecą,
Bo o słoneczność dla ziemi jest bitwą,
I brzaski, od niej, przyszłe już się niecą...
Bo jest pieśń nasza jutrzenką i zorzą,
Z której dzień buchnie nam, za mocą bożą!

Marja Konopnicka.



BABUNIA.



I.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach, siedziała w pokoju chorych wnuków i przy świetle małej lampy robiła pończoszkę. Synowa, po paru nocach, spędzonych nad łóżeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym; w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późnym. Chore dzieci spały, babunia dumała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz, osłonioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumała.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną O, Boże! Dzieci, to szkło kruche, to lekkie listki jesienne; lada co może je skruszyć i zdmuchnąć! O, Boże! Smutno na ziemi. Każde dobro niepewne, każdy skarb nietrwały; dziś jest, jutro może już nie być; rzadki dzień bez wspomnień żałośnych lub przewidywań trwożnych. Powiadają ludzie, że wspomnienia są klejnotami, zgromadzonymi na porę ubóstwa. Może inni tak czują, ona nie. Dla niej wspomnienia, to obrazy kochane, oprawione w łzy, a dla tego w łzy, że nie może patrzeć na nie oczyma suchemi.

Ale, co im się stało, co im jest, tym kociętom drogim? Na Wandeczkę lekarz weselej trochę spoglądał, ale Tadzio zaniepokoił go widocznie. Bo też chłopczyna ten nie jest wcale dzieckiem zwykłem, a dzieci niezwykłe... o, Boże!...

W domu i za domem cisza głęboka i jeden tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro skrzypi po papierze równo, ciągle. Niekiedy też chore dziecko zaszeleści w pościółce i cicho zastęka; wtedy babunia podnosi głowę, i pochylona ku łóżeczkom, wsłuchana, oczekująca, tak wygląda, jakby na pierwsze kiwnięcie palcem tej mary, która zwie się nieszczęściem, gotową była biedz, lecieć, osłaniać, bronić... Ale dzieci śpią ciągle. Może to być sen sztuczny, przywołany przez tę miksturę, która we flaszce stoi na stoliku i sztywną receptą sterczy pod światłem lampy. Flaszka z receptą w świetle lampy przysłonionej ma w sobie coś ponurego. Ponurość płynie z ciszy grobowej, która dom napełnia, z długich cieni, które od sprzętów padają na ściany, z nierównych oddechów chorych dzieci, z równego, ciągłego skrzypienia pióra po papierze, w pokoju sąsiednim.

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty człowiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Babunia widzi przez drzwi wpół otwarte plecy jego przygarbione, głowę z siwiejącemi włosami, profil surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na czole. Z postawy i rysów ten syn jej podobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie roztwartą przed ludźmi, a dla niej — choć już siwieli oboje — serce kochanka. Zygmuś jest skrytym, ostrożnym i ostrym — nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o, nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki cierpień; tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmusia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zasłały mu, jak kamienie, dno duszy; reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepkiem myśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmusia. Nie dlatego, aby wyrządził jej kiedy jaką krzywdę, albo dotkliwą obrazę; owszem, nie uchybia nigdy ceremonjałowi uszanowania synowskiego. Ale ona wie, że ten ceremonjał, to forma, z której miłość uciekła. Była kiedyś! Widuje ją i teraz na obrazach, oprawionych w łzy, ale inaczej już nigdy, oddawna. Przytem natura jej miękka i wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, gestem szorstkim, wejrzeniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: „Nie dokuczaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów!“ Więc z jednej strony ceruje i łata swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo to, jeszcze czuje, że zawadza. Synowa, kobieta uczciwa lecz oschła i wiecznie stroskana, wolałaby mieć w domu siostrę swoją, niżeli matkę męża; usuwa ją też od dzieci, może zazdrośna o ich serca. I ma prawo to czynić, ma prawo. Jest im najbliższą, one do niej należą. Nawet pokoik pod dachem przydałby się bardzo dla wnuczki najstarszej, już podrastającej. Słowami nikt jej nic nie wyrzuca; lecz zdarzają się spojrzenia, gesty, równie wyraźne, jak słowa, a jej i tego nie potrzeba, aby rozumiała, że jest u tego wozu piątem kołem, w tej księdze kartą zżółkłą, z pismem zbladłem, której nikt już czytać nie chce. Więc i nie upomina się o to nigdy. Cokolwiek czuje i myśli, nie zwierza tego przed nikim, wszyscy też mniemają, że lata zgasiły w niej do szczętu wszystek ogień i wszystkie światło. Otrzymuje z łaski syna to, czego jej jeszcze potrzeba: kąt ciepły, pożywienie, odzież; gdyby występowała z pretensjami innemi, byłaby wprost śmieszną. To też nie występuje; lecz niekiedy bardzo wyraźnie czuje w sobie jeszcze duszę ludzką, duszę kobiecą, której rosół nasycić, ani piec ciepły rozgrzać nie może, która też kurczy

się i napełnia smutkiem, od głodu i chłodu, nieznanego ciału. Ciało syte, dusza głodna; ale Babunia jest rozsądną i uczucie osamotnienia głębokiego kryje przed ludźmi, jak zbrodnię. Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecionemi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odmawia długi różaniec imion drogich, umilkłych na wieki, a wtedy, to wszystko, co napełnia jej duszę, szczelnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami, pełnemi obrazów. Na tych obrazach jaśnieją, uśmiechają się, po imieniu ją nazywają oblicza, pogasłe na wieki, drogie, a wśród nich, najczęściej, najnatarczywiej, najrzewniej, jedno najdroższe...

Jednak, w tej chwili, wszystko, co od lat wielu było jej samotnością serdeczną, tęsknotą, żalem, nazywa urojeniami pustemi i grzesznemi. Gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się, albo pragnąć czegokolwiek wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesołe, to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nieszczęściu prawdziwemu. O życie obojga drży zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących, najwięcej kocha — Tadzia. To z pośród kociąt kocie najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka Jasia: to samo czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny lgnie do niej serdecznie, na jej widok biegnie, rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła, spędza też z nią często szare godziny zimowe...

II.

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoiku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci, lub w oddaleniu. Wspomina; a tymczasem szara godzina coraz ciemnieje, ciemnieje, aż pokoik na górze z jednem oknem napełnia się grubym zmrokiem. Wtedy zaczyna stawać się w koło niej rzecz szczególna. W grubym zmroku zaczynają powstawać formy białawe lub czarne, zrazu jedna, potem kilka, kilkanaście, coraz więcej. Babunia jednak ani lęka się, ani dziwi, bo wie oddawna, że są to widma rozsianych po świecie grobowców, które w ciemności i ciszy przybywają do niej, mnożą się i stają tak licznemi, jakby kto je tu zasiał pełną garścią. Do koła fotelu, na którym siedzi, pośrodku pokoju, we wszystkich jego kątach, bieleją w szarym zmroku widma grobowców, wyższe, niższe, pośród których krzyże czarne rozstawionemi ramionami zmrok ten przerzynają. A wśród tych form białawych i czarnych przeszłość lata na cichych skrzydłach i — szepce. Szepce imiona zdrobniałe, słowa serdeczne, rozmowy poufne, wszystko, co serce miało, utraciło, a pamięć podjęła dla przechowania dośmiertnego. Szara godzina, pełna białawych i czarnych widm grobowców i krzyży, napełnia się jeszcze szeptem, w który babunia wsłuchuje się pilnie, gdy z oczu jej na suknię czarną pada tyle kropel gorących, ile słów dokoła jej białego czepca wyszeptuje przeszłość.

W tem: skrzyp! drzwi otwierają się powoli i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?

— Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię, a co tam takiego?

— Nic, ja tak sobie... *psysedlem* do babuni...

I już jest na jej kolanach. Zapaliłaby lampę, ale tak mocno oplótł ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Po co lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to w drugi, przygładzać jej włosy nad czołem i głosikiem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wielse!*

Bo była to namiętność tego malca, uczyć się z ust babuni wszystkiego, co ona tylko sama na pamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet.

— A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

— A czy znasz ty, blacie mlody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy, widma grobowców i krzyży znikają, od dwu twarzy, ku sobie przybliżonych, bije w grubą, szarą godzinę łuna zachwycenia.

(C. d. n.) *Eliza Orzeszkowa.*



O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

II. Proces rozwoju rodowo-społecznego.



Od tej doby poczynając, kiedy się wyodrębniły osobniki męskie i żeńskie i od czasu, gdy się wytworzyły pierwsze spójnie społeczne, musiała się z konieczności uwydatnić działalność czynnika, znanego pod nazwą podziału pracy fizjologicznej i społecznej (Ergonomia). W miarę jego działalności wytwarzać się musiały kolejno obok cech pierwszorzędnych, charaktery drugo- i trzeciorzędne. I tak, gdy pielęgnowanie i wychowywanie potomstwa, wskutek silniej rozwiniętego in-

stynktu macierzyństwa w organizmie żeńskim, przypadły w udziale płci kobiecej, a natomiast płeć męska dbać zaczęła o bezpieczeństwo rodziny i jej dobrobyt, na mocy odziedziczonego po kądzieli altruizmu — wyróżniać się też zaczęły dwie dziedziny czynności, a wraz z niemi zaczęły się różniczkować i organizmy same, i pole ich działalności w dwóch kierunkach różnych. Następnie pod wpływem prawa doboru płciowego i adaptacji wzmagały się stopniowo różnice fizyczne i intelektualne, aż się utworzyły dwa typy, których przeciwieństwa zbyt rażące, były ciągle łagodzone i wygładzane przy pomocy znanego procesu - krzyżowania cech w potomstwie, wskutek czego przymioty, nabywane przez jedną płeć w walce życiowej, przekazywane były na płeć drugą i vice versa, i gdyby nie czynność zbawienna tego krzyżowania, bylibyśmy już dzisiaj mieli np. z jednej strony upersonifikowanie siły byczej i brutalnego egoizmu bez miłości rodzicielskiej, bez moralności— bez altruizmu, zaś z drugiej strony uosobienie przymiotów co dopiero wymienionych, podniesionych do stopnia egzaltacji, bez dostatecznej rozwagi i energji, czyli po jednej stronie mielibyśmy wytwory osobistości kobiecej, po drugiej męskiej.

Dzięki prawu poznanemu o krzyżowaniu cech w potomstwie, dzięki znajomości naszej, dotyczącej prawa doboru i przystosowania (adaptacja), możemy mieć uzasadnione przekonanie, że inteligencja tak męska, jak i żeńska, po za sferą ich różnej działalności w zakresie funkcji generatywnych — mogą być jednostajnie kształcone, pielęgnowane i podnoszone na coraz wyższe stopnie rozwoju i potęgi, które dosięgnąć można tylko przez kojarzenie harmonijne przymiotów męskich z kobiecymi. Najszczytniejszy cel, jaki może osiągnąć tak każdy osobnik, jak i ludzkość cała w swem wykształceniu duchowem, jest zaspokojenie potrzeb serca i rozumu.

Nie wielu chyba zaprzeczać nam dzisiaj zechce, gdy powiemy, że kobieta może być dobrą rodzicielką, wzorową matką etc., a przytem renomowanym lekarzem lub też znakomitym matematykiem; również i mężczyzna może być przykładnym mężem, a do tego pierwszorzędnym uczonym, albo znowu może być kiepskim mężem, ojcem niezaradnym pomimo swej uczoności.

W dziedzinie niższych czynności intektualnej natury, dotyczących sfery generatywnych działalności, różnice konieczne trwać będą, bo trwać muszą przez całe wieki, ale sfera umysłowa wyższa jest wspólna i jednaka dla płci obu. Inżynierja, mechanika, chirurgia, terapja, astronomja, chemja, botanika, zoologja, filozofja, fizyka, matematyka etc. mogą być uprawiane przez osobniki obu płci bez różnicy i to z jednostajnie pożądanym skutkiem. A jeżeli stawi się dzisiaj za dowód o niezdolności kobiet brak dotychczasowy znakomitości płci żeńskiej w zawodach rzeczonych, to przecie ma to miejsce jedynie dla tego, że je kształcono i kształcą dotąd w kierunku flirtu, strojów, sztuki przypodobania się i bigoterji, a że doszły one w dziedzinie umiejętności i sztuk rzeczonych do mistrzostwa niedoścignionego przez płeć męską, to mamy jeszcze jednym dowodem więcej, że i na innych polach dościgną lub nawet prześcigną mężczyzn w prędkim czasie, byleby miały tylko sposobność do nauki gruntownej. »Pozostawanie kobiety dzisiejszej w tyle po za mężczyzną« — powiada Patrick — »przypisać należy sztucznym i nienaturalnym więzom i ograniczeniom, jakie na nią nakładają warunki społeczne [1]).

Podział pracy fizycznej w społeczeństwach, o których mowa, bywał już wykonywany na najniższych szczeblach rozwijających się stowarzyszeń. »My mężczyźni, powiada np. australczyk »kurnaj«, polujemy, łowimy ryby, wojujemy albo próżnujemy, reszta zajęć jest obowiązkiem kobiet«.[2])

Temi samemi słowami mógłby określić sposób podziału pracy społecznej pomiędzy mężczyznami i kobietami każdy Tunguz, Łomuta, Oroczon, Korjaka, Gilak lub Ajno [3]). Praca, wymagająca długiej nieobecności w miejscu zamieszkania, silniejszego, jednorazowego natężenia sił muskularnych, ale przerywana dłuższym lub krótszym wypoczynkiem, stała się udziałem mężczyzny, przeciwnie, praca wykonywana na miejscu, w domu lub nieopodal od domu, ciągle, stale, bez przerwy i bez długiego wypoczynku, przypadła na dolę kobiet. Zajęcie takiego rodzaju jest dzisiaj ideałem pracy ludów cywilizowanych, do jego uprawiania trzeba większego zasobu siły, woli i samowiedzy, niż do czynności tak zwanej męskiej [4]) gwałtownej, a nieprawidłowej.

Zajęcia kobiet nie były im gwałtem narzucone, lecz przeciwnie, przez nie same dobrowolnie przyjęte, a to z pobudek miłości macierzyńskiej, miłości rodziny tj. pobudek altruistycznej natury. Dzisiaj, gdy się obserwuje plemiona na-

---

[1]) T. W. Patrick »Psychologia kobiety w świetle nowych faktów i teoryj«. Przełożył z angielskiego J. Wł. Dawid 1896. str. 29.

[2]) Dr. Havelock Ellis (Mann und Weib). Deutsche Ausgabe. v. Dr. Hans Kurella. 1895. Str. 1.

[3]) Poglądy moje i wnioski, com je wyżej przytaczał albo przytaczać będę następnie, oparłem na podstawie faktów obserwowanych osobiście podczas długiego pobytu w Syberji i na Kamczatce.

[4]) *Chacun admettra que les élans d'activité violents spasmodiques caractérisent l'homme,... tandis qu'une persévérance patiente, avec une dépense moins violente d'énenergie, accompagne généralement le travail de la femme" (L'Evolution du sexe.' P. Geddes et A. Thomson. Traduction française par H. de Varigny 1892 str. 22.).*

wpół dzikie, myśliwskie, com je miał sposobność poznać w Syberji i na Kamczatce, gdy widzimy, jak kobiety tych plemion dźwigają olbrzymie brzemię pracy z pogodą na czole, uśmiechem na ustach, prawie radośnie; podziwiać musimy, czcić i uwielbiać tę kolosalną moc miłości, w której czerpią one swe siły niespożyte i w której znajdują zapłatę za swe znoje i poświęcenie bez granic, bo wszak ich szczęściem jedynem na ziemi jest szczęście istot, które ukochały sercem całem.

Z chwilą, gdy potrafiono roznìecić ognisko, gdy zdołano sporządzić schronienie dla siebie, czy to w jamach podziemnych, czy jaskiniach, nastała konieczność ciągłej straży u domowego progu, stąd też kobieta stała się prawdziwą kapłanką u ołtarza rodzinnego. Czynność, o której mowa, widzimy powszechnie jako atrybut zajęć płci żeńskiej. Dzisiaj np. żaden Tunguz, Burjata albo nawet włościanin syberyjski nie roznieci w domu ogniska, nie zapali w piecu, bo uważa tę czynność za przynależną kobietom. Wraz ze strażą domóstwa kobieta wzięła na siebie całą pracę kulinarną, a z nią połączone garncarstwo. Sporządzanie naczyń kuchennych, przygotowanie pokarmu stało się dziełem jej rąk, a nadto i pierwsze próby przyswajania zwierząt domowych. Tej praktyki pierwotnego udomowienia i hodowania zwierząt byłem sam świadkiem na Kamczatce, widziałem np. jak Łomutki lub Korjaczki karmiły własną piersią młode szczenięta psów myśliwskich, których matki zginęły. Otóż w ten sposób łatwo jest pojąć, jak z dzikiego wilka pochodzący pies ludów pierwotnych, staje się członkiem ich rodziny, najwierniejszym jej towarzyszem i sługą, płacąc miłością i poświęceniem za pieczę o nim i za miłość [1]). Gdy dzisiaj dziatwa drobna wraz z psami zasiądzie dokoła wspólnego ogniska u ludów nawpół dzikich albo przez pół cywilizowanych, zdają się one być najczulszymi przyjaciółmi. Nieraz widziałem, jak suka, pozostająca na stopie niańki w rodzinie korjackiej, umywała językiem swoim zamurusaną twarzyczkę współtowarzysza, i to z taką pieczołowitością, jak gdyby chodziło o jej własne ukochane dziecię, przyczem niemowle korjackie, zmrużywszy tylko oczy, poddawało się najchętniej takiej operacji toaletowej, która, jak widać, była zwykłą i codzienną w jego życiu dziecięcem. (C. d. n.).

---

[1]) Zupełnie inną hipotezę o przyswajaniu psa przez ludy pierwotne podał Wiktor Meunier, a za nim Wilhelm Ferrera (Wszechświat Nr. 38 1896). Przeciwko hipotezie autorów rzeczonych przemawiają wszystkie fakty, com je obserwował bądź na Kamczatce, bądź w innych krajach Azji północnej. To też na podstawie własnych obserwacji mogę stanowczo oświadczyć, że hipoteza pp. Meuniera i Ferrera jest zgoła nieprawdopodobną, a to odnośnie do tych ludów i do gatunków tych psów dzikich, com poznał w Azji. Co do kwestji udomowienia i hodowania bydła rogatego, to uważam jedynie ową hipotezę za prawdopodobna, która została osnutą na podstawie obecnie praktykowanych sposobów przyswajania zwierząt u ludów nie cywilizowanych, a mianowicie sposobu udomowiania młodocianych okazów, czyli cieląt I tak np. widziałem jak Łomuci, nie mający mleka w swej gospodarce domowej, karmili dzikie ciele raniferowe, świeżo złowione, poidłem sztucznie sporządzonem z odwaru części roślinnych, soli kuchennej i surowicy krwi reniferowej. Otóż na mocy tego faktu i innych do niego podobnych, obserwowanych w Syberji, mogę przypuścić, że człowiek pierwotny, gdy przyswajał różne gatunki zwierząt domowych, umiał w razie potrzeby zastąpić mleko surogatami rozmaitymi, które miał pod ręką. Jednak taka hipoteza o udomowianiu bydła rogatego przy pomocy dzikozłowionych cieląt nie zadawalnia wielu uczonych, oni sądzą, że bydło nasze nie w ten sposób zostało przyswojone. W ostatnich czasach Edward Hahn (»Die Haustiere«. 1896. str. 89—103) przedstawił nową formę hipotezy; utrzymuje on, że dla przyswajania bydła sporządzano obszerne zagrody, że w nie zaganiano całe stada dzikie, ażeby je mieć pod ręką dla celów ofiar religijnych. Bydło dzikie, chowane w zagrodach przywykało powoli do człowieka i stawało się z czasem zupełnie swojskiem. Autor cytowany sądzi następnie, że na korzyść jego hipotezy a na niekorzyść innych przemawia fakt ogólnie nieznany, iż zwierzęta hodowane są początkowo niepłodne, więc, że wszelkie próby przyswajania okazów pojedyńczych, musiały niechybnie kończyć się niepowodzeniem. Rzeczywiście gdyby człowiek pierwotny nie był umiał sobie zaradzić w tym wypadku, to na pewno nie miałby zwierząt hodowanych, wszelako obszedł on trudność rzeczoną i umiał sobie dać radę, zaś jego doświadczenia przeszły w spuściźnie na wieki póniżejsze. Dzisiaj hodowcy azjatyccy idą jego śladem, oni wiedzą doskonale o fakcie powyżej przytoczonym i umieją konsekwencjom, z niego wypływającym, zapobiegać skutecznie, a to w ten sposób, że wypuszczają na czas rui samice, które podążają do samców żyjących dziko, ażeby potem wrócić do domu. Takie wypadki, uwieńczone najpomyślniejszem powodzeniem, obserwowałem w zwierzyńcu pułkownika. F Bujwida w Daurji, gdzie sarny hodowane przynosiły stale na wiosnę po dwoje młodych, gdy za poradą Tunguza zostawały regularnie wypuszczane na jesień ze zwierzyńca, dokąd wszakże z początkiem zimy same wracały, parte siłą przywiązania do pozostawionych towarzyszy i do swoich hodowców. Ogólnie mówiąc mogę stanowczo zaświadczyć, że u ludów, które poznałem — przyswajanie, hodowanie i udomowianie zwierząt jest czynnością wyłączną kobiet.

Poezja polska w r. 1896.

daje się nie ulegać wątpliwości, że w pewnych przynajmniej kołach towarzyskich zamiłowanie do poezji, lekceważonej przez czas dość długi pod wpływem naturalizmu, budzić się zaczyna ponownie. Nie nabrał jeszcze ten ruch większego rozmachu, nie posiada jeszcze dość siły, a może nawet nie ma należytego

uświadomienia, ale istnienie swoje wyraźnie już zaznacza.

Nie będę tu powtarzał uwag, które z tego samego powodu gdzieindziej wypowiedziałem, zwłaszcza, że sumaryczny przegląd naszej twórczości rocznej na polu poezji musi być krótki i na wywody przedwstępne mało pozostawia miejsca. Stwierdzam tylko fakt, ujawniony w czasopismach i książkach, i przechodzę do właściwego zadania.

Najstarszym z żyjących poetów jest Kornel Ujejski, ale ten — o ile mi wiadomo — ani jednym wierszem w r. 1896 nie pomnożył swojej niewielkiej na ilość, ale doborowej pod względem myśli i artyzmu produkcji.

Mało co młodszy od niego Felicjan Faleński niedawno ogłosił w Krakowie pierwszy tom „Dramatów“ swoich. Nie są one utworami świeżemi; powstały przed laty i były drukowane w czasopismach; stanowią tedy nowość tylko w formie książkowej. Wirtuozja, którą się odznacza ten poeta w swoich lirykach znamionuje, również jego utwory dramatyczne, z których każdy według innej modły został napisany.

Deotyma wydała tom drugi swego rapsodu dziejowego o Janie Sobieskim. Niestety, nie miałem dotąd sposobności odczytania go; jeżeli jest tak piękny, jak tom pierwszy, stanowić będzie największe dzieło improwizatorki-poetki.

Z poetów młodszego pokolenia na pierwszem miejscu postawić należy tego, którego spóźniony 30-letni jubileusz obchodzono właśnie w r. 1896 (zamiast w 1894). Adam Asnyk (El...y) jest mistrzem formy, ale na formie samej nie zasadza wartości swoich utworów; wkłada w nie tyle myśli i tyle uczuć szlachetnych, wielkich lub subtelnych, że zawsze do głębszej zadumy pobudza. W r. 1896, odbywszy podróż na wyspę Cejlon, spostrzeżenia swoje odmalował w prześlicznych krajobrazach, a z wrażeń wysnuł niejedną tkankę artystycznie wykończonych refleksji. Ostatni jego utwór, „Złoty cielec“, to wspaniałe uplastycznienie dwu potęg, władnących ludzkością i narażających ją na walkę i zagubę; potęgami temi są: żądza zebrania bogactw i pragnienie rozkoszy zmysłowej. Napróżno moraliści i reformatorowie nawołują do innego trybu życia; pokolenia, jedne po drugich, choć zrazu oburzają się na poprzedników swoich, choć dążą niby do utworzenia czystszego kultu, kończą pokłonami przed złotym cielcem i siedzącej na jego grzbiecie wyobrazicielce rozpusty. Wiersz cały napisany jest pięknemi dantejskiemi tercynami.

Marja Konopnicka, prócz ogłoszenia czwartego zbioru „Poezyj“, pomieściła w czasopismach mnóstwo coraz to piękniejszych, a w różnorodnym tonie trzymanych utworów. I wrażenia z pobytu we Włoszech i zwrot do tematów ludowych, najbardziej przez poetkę ulubionych, i pomysły o wiele ogólniejsze budzą w duszy Konopnickiej tyle śpiewnych motywów, że utwory jej wielkiem odznaczają się urozmaiceniem. Naturalnie, zdarzać się muszą powtórzenia czy reminiscencje, ale te w lirycznym nastroju bywają niemal konieczne. A to zaznaczyć należy z naciskiem, że dawniejszy, retoryczny sposób tworzenia zniknął prawie zupełnie; szczere i wielkie uczucia znajdują bardzo często swój wyraz prosty, z głębi serca idący; ztąd też potężniej wnikają one do duszy, niż wówczas, gdy się deklamacjami — choćby w najpiękniejszych frazesach — wypowiadały. Bierze ona coraz w „pierś swą magnetycznie“ — według wyrażenia Krasińskiego — to wszystko, co żywo obchodzi całe społeczeństwo, i tą sympatyczną nicią wiąże się z niem coraz ściślej.

Wiktor Gomulicki jest jak dawniej, tak i w »Nowych pieśniach« przedewszystkiem artystą, dbającym o pięknie rzeźbione wyrażenie, o nieposzlakowaną budowę zwrotki, o rym rzadki i wytworny, o zewnętrzną jednem słowem stronę każdego swego utworu. Nie chcę przez to powiedzieć, iżby utwory te były jedynie ślicznie obrobionemi cackami; przyznaję chętnie, że w niejednym mieści się dużo treści myślowej, lubo nie takiej, coby sięgała do głębin; czasami znajdzie się i serdeczniejsze w nich uczucie; nad temi jednak zaletami wewnętrznemi przemaga zawsze czysto artystyczna. Pesymizm, ironja, sarkazm najczęściej i najlepiej bywają przez Gomulickiego wyrażane.

Ponieważ Kazimierz Gliński, ani Czesław, ani Zagórski, ani Rossowski wydatniejszych poezyj w roku 1896 nie ogłosili, przejść mi wypada do pokolenia najmłodszego.

Tu Kazimierz Tetmajer zwrócić musi najprzód uwagą naszą. Jest on najnamiętniejszym i najwymowniejszym, a raczej najpoetyczniejszym z naszych pesymistów. Pesymizm jego opiera się na podwalinach teoretycznych, ale nigdy nie wyraża się chłodno, bo serce poety nawskróś przejęte jest poczuciem cierpień bezbrzeżnych, braku ideałów, któreby porwać mogły duszę na wyżyny; krócej mówiąc, poczuciem bezcelowości życia. Teorja pławi się tu jeno w oceanie rozpaczy. Nie sądzimy, aby ta cecha miała zostać stałem znamieniem poety; przeciwnie, zdaje nam się, że wielka jego wrażliwość na wszystko, co go otacza, a przytem zdolność do ogarniania rozległych widnokręgów myśli, wyrwie go z zaczarowanego koła ponurych rozmyślań. Prześliczne krajobrazy tatrzańskie, niektóre wiersze w ważnych okolicznościach pisane, między innemi i ostatni na jubileusz Asnyka, gdzie ani śladu pesymizmu niema, upoważniają do mniemania, że poeta nietylko w złowieszczych blaskach wulkanu kochać się będzie, by rozświetlić ciemnię pesymistycznej jaskini.

I w początkowych poezjach Jana Kasprowicza brzmiała silnie nuta pesymistyczna, lecz zamilkła pod wpływem poczucia obowiązku szeroko pojętego, oraz miłości. Piękno natury, rozpatrywane już to realnie, już to subtelnem okiem wrażliwego artysty, odegrało także w tej zmianie rolę niemałą; widać to w części zbiorku zatytułowanego „Miłość“, a jeszcze bardziej w szeregu pieśni pełnych werwy młodzieńczej pt. „Z wirchów i hal“. Tatry, podobnie jak u Tetmajera, były źródłem natchnienia, lubującego się w hucznych, a nawet zgrzytliwych tonach.

W poezjach Antoniego Langego, których część I. wyszła w r. z., trudno odnaleść nastrój zasadniczy; zdaje się, jakoby wziął sobie poeta za cel wybróbować wszystkie możliwe motywy, swojskie i obce i okazać w ich traktowaniu potężne władztwo nad językiem i wierszem. Pesymizm i optymizm, naiwność i sztuczność, panteizm i mistycyzm, chłodna rozwaga i upojenie, gorycz i dzwięk słowiczy na przemiany zjawiają się w jego wierszach równie giętkich, jak giętkim jest poeta w obiorze tematów.

Całkowity kontrast z nim, a w części i z innymi poetami stanowi Andrzej Niemojewski, nie ubiegający się za wytwornością zwrotki, wiersza lub frazeologji; jędrny, silny, prosty w wyrażeniu, pełen współczucia dla rzeczywistych cierpień, pełen uwielbienia dla ideału, dla uczucia niesamolubnego. Jego cykl obrazów z życia górników naszych sprawia wrażenie treścią samą do tej pory w poezji naszej niezużytkowaną. W dłuższych poematach („Majówka“) za dużo jest dygresji; stają się one przez to rozwlekłemi.

Z najmłodszego pokolenia, Jerzy Żuławski zbiorkiem swoich poezji („Na strunach duszy“) dowiódł, że przeważnie żyje w sferze myśli, zkąd wydobywa niekiedy rozumne refleksje, w szatę poetyczną przybrane; Józef Jankowski wykazał znaczne uzdolnienie do wykwintnego żartu i umiejętność dobywania duszy z pod banalnej salonowej powłoki; Arnsztajnowa kilka serdecznych nut pięknie wyrzuciła; Ferdynand Gerżabek („Poezje“. Tarnów) śpiewa na nutę prostą; Wacław Wolski, lubo często wpadający w manierę skutkiem naśladowania różnych wzorów, czasami umiał nakreślić ładnie nastrojony obrazek. Wspomnieć też należy o zmarłym Pawle Kośmińskim, który na krótko przed zgonem w skromnym tomiku zebrał swoje „Poezje“, zawierające prócz błahych i pobieżnie pisanych rzeczy, kilka odczutych i łatwo, płynnie, gładko wyśpiewanych utworów lirycznych.

Pomijając nazwiska mniej szczęśliwych debiutantów, wspomnieć też trzeba, że rok 1896 dał nam także parę przekładów z wielkich literatur obcych, mianowicie dwa tłómaczenia „Wędrówek Childe-Harolda“, jedno Jana Kasprowicza, drugie A. A. K.; następnie przekład drobniejszych pieśni Goethe'go i jego „Prometeusza“, dokonany przez Ludwika Jenikego; dalej tłómaczenie „Piekła“ Danta przez Edw. Porębowicza, jako też I-ej pieśni „Iliady“ przez Lucjana Rydla. Nie wszystkie one są doskonałe: — ale nieudatnym nie można nazwać żadnego; — a ich zasługą jest przypominanie naszemu ogółowi natchnień rozleglejszych, niż je daje spółczesność.

Piotr Chmielowski.



Edward Engel.

Śmierć tego wybitnego męża, twórcy nowoczesnej statystyki w Niemczech i twórcy pierwszego seminarjum statystycznego w Berlinie, jest nietylko stratą dla nauki. Zabrała ona zarazem człowieka niezwykłego i szlachetnego, którego wpływ osobisty był niemniej silnym i trwałym, jak znaczenie jego prac naukowych.

Gdy mowa o Edwardzie Englu, każdy, kto zna bodaj jego najpopularniejsze prace, takie jak „Wartość pracy« lub »Wartość człowieka«, przedstawia sobie typowego profesora niemieckiego, nieubłaganego systematyka i pedanta. Otóż Engel nie był wcale zjawiskiem tego rodzaju. Ukończywszy politechnikę, nie myślał on wcale o karjerze uczonego, lecz zamierzał założyć hutę szklaną, gdy wybuch rewolucji 1848 r. pokrzyżował jego zamiary. Rzucił się więc do publicystyki, a później dostał się do statystycznego biura saskiego w Dreźnie, jako redaktor czasopisma, wydawanego przez to biuro. Tutaj dopiero rozpoczął pracować nad statystyką i wkrótce postawił czasopismo na takim poziomie, że zwrócono na nie powszechnie uwagę, a rząd pruski w r. 1862 powierzył mu kierownictwo biura statystycznego w Berlinie. Na tem stanowisku wytrwał Engel aż do śmierci i zdziałał ogromnie wiele zarówno jako uczony, przekształcając z gruntu statystykę z pomocniczej umiejętności, będącej na usługach administracji, na potężną gałęź wiedzy ludzkiej, która metodą sobie właściwą bada strukturę i objawy życia społeczeństwa, dostarczając bogatego materjału dla socjologa, polityka, ekonomisty i prawodawcy, — jakoteż jako wychowawca całej generacji młodych uczonych przez założenie pierwszego seminarjum statystycznego w Berlinie w r. 1864.

Wszyscy, którzy uczęszczali na jego wykłady w tem seminarjum, przedstawiają go jako człowieka niezmiernie żywego, dowcipnego, łatwego w obejściu, bez krzty pedantyzmu. Był to genjalny samouk, który się interesował wszystkiem na świecie, największy wróg urzędowej zakostniałości i szablonu.

Z Polaków brał udział w jego seminarjum w pierwszych jego kursach Marrasse, którego uważać należy za inicjatora badań nad ekonomicznym i społecznym stanem naszego kraju metodą statystyczną. U niego też studjował prof. Pilat, długoletni wydawca »Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych« we Lwowie, a także dość pokaźny szereg naszych młodszych uczonych.



Rozbiory i sprawozdania.

Stanisław Schnür Pepłowski: „Życie za wolność!“ (opowieść z przeszłości Galicji) we Lwowie 1897 r.

Rozprawka p. Pepłowskiego, którą omówić zamierzamy, jest niejako dodatkiem do obszerniejszej pracy tego samego autora p. t. „Krwawa karta“ (1896 r) W tej ostatniej kreśli p. Pepłowski wcale barwnie smutne wypadki z najbliższej przeszłości Galicji, tj. rzeź chłopską r. 1846 — złączoną ściśle z upadkiem rzeczypospolitej krakowskiej i z zamiarami demokracji polskiej w Paryżu do wywołania zbrojnego powstania na obszarze wszystkich ziem b. rzeczypospolitej polskiej. Zabiegi demokracji t. j. „Towarzystwa demokratycznego“ emigracyjnego, czynione w tym kierunku, spełzły, jak wiadomo, na niczem, nie mniej jednak obfituje ta chwila w dziejach narodu polskiego w znaczny zastęp idealnych postaci, którzy jako emisarjusze lub tylko zwolennicy „demokracji“ ówczesnej, poświęcili całe swe życie — odzyskaniu narodowej niepodległości i społecznej wolności. Słusznie wobec tego zatytułował p. Pepłowski rozprawkę o życiu najsłynniejszego z emisarjaszy demokratycznych — Teofila Wiśniowskiego — „Życiem za wolność!“.

Teofil Wiktor Mikołaj dw. im. Wiśniowski, szlachcic herbu Prus I. ur. się 2. stycznia 1816 r. w Jazłowcu w Galicji i ukończywszy studja prawnicze we Lwowie, tudzież przebywszy rewolucję w r. 1831 jako żołnierz polski, pragnął poświęcić się zawodowi sędziowskiemu. Ale... nie były to czasy, w których polacy mieli wolny dostęp do posad sądowych, a ponadto młody prawnik zbyt wcześnie wszedł w samo centrum niejako — ówczesnego życia politycznego spiskowego i już jako ożeniony musiał udać się na emigrację do Francji, zagrożony zwykłym podówczas procesem o zdradę stanu. Na emigracji odegrał Wiśniowski wybitną rolę jako członek »centralizacji« demokratycznej i redaktor demokratycznego „Pamiętnika“, w którym umieścił dobrze napisaną rozprawę „Panslawizm czyli Wszechsłowiańszczyzna«. P. Pepłowski podaje dokładną treść tej rozprawki, napisanej w duchu antirosyjskim tak dalece, że nawet z Mickiewiczem autor polemizował. Jako członek centralizacji nie ograniczał się jednak Wiśniowski na działalności emigracyjnej, przeciwnie należał równocześnie do najgorliwszych emisarjuszy a za teren swych działań obrał rodzinną Galicję. P. Pepłowski mówiąc o politycznych zabiegach Wiśniowskiego w ówczesnej Galicji śledzi skrupulatnie wszelkie jego kroki, szkoda jednak, że nie podaje nam autor równie skrupulatnego rozbioru działań wszystkich ówczesnych emisarjuszy demokratycznych, towarzyszy Wiśniowskiego w Galicji. Nie czyni tego p. Pepłowski także w „Krwawej karcie“, a przecież bez takiego rozbioru nie możemy wyrobić sobie ani dokładnego pojęcia o ówczesnym ruchu rewolucyjnym wogóle, ani też o echach z toru politycznej działalności Wiśniowskiego. Tu i ówdzie tylko potrąca p. Pepłowski o tę sprawę, a wówczas powtarza znane rzeczy, które krótko zebrane wykazują, że ówczesna „demokracja“ miała właściwie tylko ogólne cele zgodne, jako to: niepodległość Polski i emancypację „ludu“, w taktyce jednak politycznej — dążącej do zrealizowania tych celów występowały zasadnicze różnice zacząwszy od skrajnych demokratów wyznających ideje socjalistyczne, aż do takich, którzy z obawy o szlachtę nie godzili się na żadną „ludową“ propagandę. Wiśniowski w przedstawieniu p. Pepłowskiego występuje jako zwolennik kierunku wcale umiarkowanego, to też i bezpośrednia jego działalność ograniczała się głównie na sfery szlacheckie w Galicji zachodniej. Ale... dla biurokracji austrjackiej były podówczas dążności narodowe szlachty tak straszne, że jak wiadomo — wolano nawet podburzyć chłopów przeciw »panom«, pozwolić na krótką, krwawą ludową tragedję, ażeby tylko ubezwładnić szlachtę, osobliwie szlachtę drobną. Było to zresztą całkiem naturalne, bo chłopa uległego, dążącego co najwyżej do zniesienia pańszczyzny, można było uspokoić obiecankami lub wprost siłą zbrojną, a ruch szlachecko demokratyczny, solidaryzujący się z miastami, miał znaczenie szersze, wykraczające po za granice Galicji i co gorsza — groził w każdym razie podkopaniem władzy ówczesnych galicyjskich biurokratów. Wiśniowski, działając w Galicji wschodniej, nie widział wprawdzie strasznych zajść rzezi z r. 1846, ale nie mniej otoczonym był szpiegami z pośród chłopów, aż wreszcie jeden z nich ujął go we wsi Manajowie przebranego za księdza. Dalsze losy Wiśniowskiego dobrze znane. Kapuściński i W. zostali wśród ogólnego poruszenia wśród lwowskiego mieszczaństwa — powieszeni. P. Pepłowski dodał do rozprawy swej także kilka listów Wiśniowskiego i przedruk wyroku śmierci nań wydanego, także spis uroczystości pamiątkowych w rocznicę jego skonu wraz z ilustracją pomnika, wystawionego mu przez mieszczaństwo lwowskie.

Dr. K. I. G.



Wiadomości bibljograficzne.

Dr. Piekosiński Franciszek. Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej. Kraków 1896. str. 151.

Koneczny Feliks dr. Dzieje Śląska, ozdobione licznymi obrazkami, zeszyt 1. Bytom, 1897, str 48

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.